Nr 7(8) 1 MARZEC 1935 ROK II

Problemy

Dwutygodnik Polityczno-Literacki. cena 30 gr.

„Nie sztuka robić rewolucję gdy się ma na to pozwolenie od policji“

Kruczkowski w „Gazecie Polskiej”

SOBIESKIEGO DO BEREZY

Dzięki sporom politycznym wszczętym nazajutrz po Radzyminie mało jest dziś punktów w historji tak dokładnie prześwietlonych i tak gruntownie przeoranych rozprawami jak dzieje obrony Warszawy i kontrofenzywy polskiej z sierpnia 1920 roku. Kolejno wysuwane tezy, przypisujace zasługę to gen. Weygandowi, to gen. Rozwadowskiemu, nie dały się utrzymać, rola marszałka Piłsudskiego wystąpiła niewątpliwie i w całej pełni. Cykl głosów które jedne po drugich rozchwiewały nieprawdę, zakończył w 1930 r. odczyt brukselski samego generała Weyganda który w sposób wyraźny i stanowczy, już nietylko jako świadek lub rywal, ale także jako znawca przedmiotu, oddał palmę pierwszeństwa Marszałkowi. Trudno więc o świadectwa lepsze, wyrazistsze, o argumentację bardziej przekonywującą. Niemniej w trzy lata po odczycie brukselskim, pisząc dla francuzów historję Polski, Wacław Sobieski profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego powtórzył starą tezę o Weygandzie. Przeciwko profesorowi Sobieskiemu podniosły się głosy krytyki historycznej, podniosły się także głosy nagonki. Głosy nagonki wołały o Berezę. Prasa prorządowa większych i mnieiszych kalibrów woła o Berezę. —

Nie mamy najmniejszych sympatji do profesora Sobieskiego. — Jest to przedwojenny radykał endecki, na manjer czeski. Nie byliśmy też nigdy mniemania by był on ozdobą nauki polskiej, o wiele lepszą od tych, wileńskich geografów którzy Białystok przyznają Ukraińcom. Karjera profesora Sobieskiego rozpoczęła się od inwektyw na Piotra Skargę „największego wichrzyciela Rzeczypospolitej“, postaci której krytycyzm i karcąca miłość ojczyzny p r z y d a ł a b y się dzis nie mniej niż się przydała wobec sejmikowych gardłaczy XVII w. „Wielkiem dziełem“ profesora Sobieskiego są jego „Dzieje Polski“, dzieje pojęte jako walka o dostęp do morza. Jest on w tej książce swego rodzaju marksistą Bałtyku. Wszystko co nas od tego morza oddalało jest w jego pojęciu niewątpliwie złem, wszystko co nas doń zbliżało jest niewątpliwie dobrem. Polska w ciągu swych dziejów miała cały szereg problemów dużo większych od morskiego, dla profesora Sobieskiego one nie istnieją, lub są traktowane tylko jako zboczenia z dziejowej drogi. Gdy Szuyski i Bobrzyński zobrazowali na tle dziejów nasz brak silnej władzy lub nasze ku niej dążenie, to oprócz silnej władzy widzieli jeszcze inne cele, inne zadania. Profesor Sobieski jest ślepy. Zresztą rola profesora Sobieskiego i rola nauki historji w ruchu „narodowym“ jest czemś zgoła odmiennem od roli Szuyskiego i roli historji w ruchu stańczyków krakowskim: U stańczyków *na początku była historja,* pierwszy głos miała nauka, Szuyscy, Bobrzyńscy, dopiero po nich przyszła publicystyka Tarnowskiego, Estreichera. U endeków rozpoczęło się wszystko *właśnie od publicystyki,* od Popławskiego, kończyło na Sobieskich. U stańczyków historycy wykuwali tezy które mieli popularyzować publicyści, u endeków publicyści tworzyli i wysuwali tezy do których historycy mieli dobrać szkielet naukowej argumentacji.

Między wołaniem takiego Szuyskiego i takiego Sobieskiego (si licet parvis magnis comparare) istniała stąd ogromna różnica: pierwszy o potrzebie silnej władzy uczył społeczeństwo lat osiemdziesiątych a więc społeczeństwo liberalne, postępowe, wolnościowe, likwidujące właśnie w Austrji resztki tej „silnej władzy“,—drugi o swem morzu mówił do audytorjum już w morzu rozkochanem, budującem Gdynię i flotę wojenną, zbierającem składki na różne Ligi i LOPP-y. Ciężko zdobyty był poklask Szuyskich, lekko poklask Sobieskich.

Wracamy do naszej sprawy, do trzeciego wyczynu tego historyka, jego francuskiej historji Polski. Wacław Sobieski nie mógł niewiedzieć o odczycie Weyganda, nie mógł nie znać historjografji bitwy warszawskiej, a jednak postąpił tak jakby tej historjografji wogóle nie było, lub jakby nie mówiła ona właśnie przeciwieństwa tego wszystkiego co on głosi. To są rzeczy które mu czarno na białem może wytknąć nie krytyk historyczny, jak to słusznie i taktownie zrobił jeden tylko Aleksander Kawałkowski, ale które jest mu w stanie wytknąć *każden* uczeń z jego seminarjum, czy poprostu *każden* jako tako wykształcony człowiek w Polsce, *każden* interesujący się temi sprawami we Francji. A to się nazywa *kompromitacją*. Kompromitacji tej nasz historyk chciał, jest ona okazałym skutkiem partyjnego uporu, jest ona wspaniałym okazem co warte są podręczniki historji pisane przez partyjników. Taka kompromitacja jest dla naukowca śmiercią cywilną. Jest tym *jedynym ale i najcięższym* wymiarem kary jakiby spotkał podobnego historyka w Anglji, Francji, Stanach.

Teraz wyobraźmy sobie, że profesor Sobieski nie żyje w żadnym z tych wielkich krajów na *Zachodzie*, nie żyje nawet w Polsce- żyje zato *w jakiemś ZSSR*, jakiejś Persji Rizy Chana, jakimś Afganistanie Habibullachów czy Nadir khanów. Wyobraźmy sobie, że zagranicą wydał on taką samą mylną, taką samą ordynarnie fałszywą książkę, lekceważącą niewątpliwe zasługi Woroszyłowa czy Stalina. zgoła nie podlegające wątpliwościom zalety tak niepośledniego reformatora jak Rizy Chana, wyobraźmy sobie, że recenzje z tej książki przedostają się do prasy sowieckiej. do perskiego „Ekspresu Czerwonego”, kabulskiego „Pionu“. Co *wtedy* stałoby się z takim sowieckim Sobieskim? O, to bardzo jasne! Profesor powędrował by w te pędy do jakiegoś północnego miejsca odosobnienia, jakichś Sołówek, i tam, za drutem kolczastym, przy ciężkiej pracy i niedostatecznem pożywieniu, „oduczałby się“ robienia pomyłek historycznych. Tak zareagowałby *Wschód.* Na Zachodzie czekałaby takiego Sobieskiego naukowa śmierć cywilna, moralna deklasacja i degradacja jako historyka już nie słabego ale historyka świadomie, po kauzyperdjacku k ł a m l i w e g o. Wschód nie rozumie się jednak na tych finezjach i delikatnościach, Wschód popędziłby pod batóg i pałkę, wołałby o więzienie, Sołówki. zsyłkę. Wschód nie rozumie słów „kompromitacja naukowa”, bo to nie są pojęcia ze słownictwe stupajek—Skonfrontujmy teraz nasze stanowisko wobec tego historyka o nieprawdopodobnej niesumienności ze stanowiskiem jakie zajętoby w Anglji, Francji, Stanach, ze stanowiskiem jakieby zajęto w podobnym wypadku w Moskwie, Teheranie, Kabulu.—O nie, nie „zbliżamy się do Europy“, nie przerwaliśmy epoki Paskiewiczów, Imeretyńskich i Bergów. Bereza nie jest w stanie „powolnej likwidacji“. Jest w stanie szybkiego zakorzeniania się.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

NOWA DROGA, A TEN SAM BŁĄD

Z trybuny sejmowej minister spraw wewnętrznych wypowiedział pod adresem Ukraińców słowa którym w każdym razie nie można odmówić daleko idącej szczerości. Minister oświadczył, że z przewrotnymi politykami ukraińskimi, obecną reprezentacją ukraińską, pertraktować już nie jest w stanie. Że zresztą po nich, wychowanych w nienawiści do Polski, nadejdzie młode pokolenie, wychowane już w wolnej Polsce. Zastąpi ich ono już niebawem, już w najbliższym czasie. Minister jest pełen wiary w to że z tem właśnie pokoleniem będzie mógł współpracować.

Nie bardzo podzielamy ów optymizm ministra. Nie jesteśmy zdania by fakt wychowywania Ukraińca w wolnej Polsce lat 1919—1934 wpłynął pozytywnie na jego stosunek do Państwa. W dniach w których minister Kościałkowski wyrażał tą wiarę, Prezydent Rzpltej ułaskawiał dwóch Ukraińców skazanych przez nasze sądy na śmierć za akt antypaństwowego teroru. Byli to Ukraińcy młodzi, ludzie z tego właśnie pokolenia, które minister ocenia jako dojrzałe do porozumienia. Ci dwaj nie są wyjątkami. Od Fedaka do Danyłyszyna najskrajniejsza irredenta ukraińska czerpie swe siły nie w starem a młodem pokoleniu. W Berezie nie siedzą Ukraińcy starzy ale młodzi, ci wychowani w wolnej Polsce. W tem młodem pokoleniu widzę siły mniej od nich aktywne, nie widzę jednak sił tak bardzo państwowo - twórczych. Przyjmujemy to jako smutny wynik nie tylko „ościennej“ propagandy, ale i licznych własnych błędów. Potępialiśmy je zbyt często i zbyt bezskutecznie by się raz jeszcze nad niemi rozwodzić.

Kogóż więc, mówiąc o młodem pokoleniu ukraińskiem, dojrzałem do współpracy z Polską, miał na myśli Minister? Prasa ukraińska pojęła to jako zapowiedź tworzenia w Małopolsce Wschodniej przy najbliższych wyborach formacyj ukraińskich — analogicznych do tych jakie mamy na Wołyniu. Wątpimy aby tak było. Wiele i słusznie wymyślało się w Polsce na przedwojennych warszawskich „ugodowców“, na beznadziejną słabiznę ruchu, który nie mógł się powołać na zdobycze uzyskane w Austrji przez Galicję. Ten ruch ugodowy tworzony był przy pomocy błahych słówek nadzieji, odznaczeń monarszych, zelżeń kursu. Presji żadnej jednak nie wywierano. Mamy niestety wrażenie, że kreowane filopolskie organizacje ukraińskie Wołynia to coś wiele kruchszego niż kongresowiacka „ugoda“. Mamy wrażenie że w młodem pokoleniu ukraińskiem posiadają one tę samę wartość i znaczenie, jakiem w młodem pokoleniu polskiem cieszy się „Legjon Młodych“: Gdy się ma władzę można zawsze takie formacje stworzyć, rozwijać, popierać. Łudzić się że stanowią one dla swych stwórców jakiekolwiek samodzielne oparcie—nie można.

Przez pierwszych lat czternaście naszej Niepodległości wszystkie rządy miały jedną wspólną formułę „rozwiązania“ sprawy ukraińskiej: „Źli są menerzy ukraińscy, sam lud jest dobry. Trzeba ponad głowami manërów dojść do dobrego ludu“. — To powtarzały wszystkie rządy, ale żaden z nich dotąd do dobrego ludu nie trafił. Nawet przez sekwestratora i nawet przez policjanta. Dobry lud wybiera wciąż tych semych niedobrych menerów. Bojowcy U. O. W. rekrutują się masowo z tego dobrego ludu. Teza że można do mas ukraińskich dojść z pominięciem ukraińskiej inteligencji potwierdzenia nie znalazła. Minister Kościałkowski postawił nową tezę; „stare pokolenie jest złe, młode jest dobre, z młodem będziemy gadać“. Niestety nie widzimy najmniejszych faktów któreby przemawiały za trafnością takiej djagnozy, niestety wątpimy by ów „N E P“ naszej polityki mniejszościowej nie był tylko nowem złudzeniem, nowym błędem.

PIOTR DUNIN-BORKOWSKI

Demokracja w Polsce

II. Możliwości rządów pomajowych

Niezawodnie po obaleniu systemu parlamentarnego jako wszechwładnej siły w Polsce, ludność była skłonną przyjąć wszystko co nowe rządy byłyby jej zaproponowały czy narzuciły. Przed rządem stawały trzy drogi do wyboru, jedna znosząca właściwie system demokratyczny, choć mogąca się też posługiwać pewną argumentacją demokratyczną, druga utrzymująca demokrację w formie odbiegającej od wszechwładzy parlamentu, nareszcie trzecia, ograniczająca demokrację na rzecz innego czynnika.

Pierwszą drogą byłaby dyktatura jednoski, podobnie, jak dyktatura Napoleona I, we Francji, albo dyktatura grupy czy partji z wodzem na czele jak rządy socjalistów narodowych w Niemczech, lub faszystów we Włoszech. Podobna dyktatura bywa w pierwszej chwili nader popularną i właściwie po odpowiednim propagandowem przygotowaniu odpowiada chwilowym potrzebom i nastrojom publiczności i o tyle może być nazwaną demokratyczną. Jednak wnet następuje faza, w której jej popularność wśród ludności spada i utrzymuje ona jej pozory tylko przymusem. Wtedy oczywiście już dyktatura nie jest formą demokracji. Załamanie popularności dyktatury jest spowodowane zwykle tem, że nie może ona spełnić rozmaitych utajonych życzeń dla których lud ją z radością powitał. Niestety bowiem temu kto w życiu nie potrafi sobie samemu poradzić, rzadko kiedy kto inny może w istocie dobrze zrobić, nawet jeśli tego pragnie. Dogmatyczny system jedynej uprawnionej partji, musi się chronić przed wszelkim krytycyzmem, doprowadza też zawsze do bezkarności swych wybitniejszych zwolenników, a samowoli wobec swych przeciwników czy krytyków. Dyktatura tego typu miała swych zwolenników w Polsce ale nie urzeczywistniła się z powodu braku partji skupionej, która byłaby objęła władzę jak w Rosji, Niemczech czy Włoszech [1]).

Drugą drogą, która stała otworem dla Polski w 1926 r. była jak mówiłem drogą przemian w systemie demokratycznym. Przemiany te nie naruszając demokracji, mogły przybrać formy wzmocnienia władzy wykonawczej Prezydenta, wybieranego przez lud drogą plebiscytu, ustawodawstwa w kierunku bezpośredniego referendum ludowego w pewnych sprawach, czy nawet inicjatywy ludowej, wzmocnieniem uprawnień samorządów terytorjalnych czy zawodowych. Wszystkie tego rodzaju instytucje ograniczają wszechwładzę parlamentaryzmu, nie ograniczając i pozostawiając w pełni przy władzy zasadę demokracji. Systemy demokracji pozaparlamentarnej wymagają jednak niemal większego jeszcze wyrobienia ludności, względnie dobrego stanu ekonomicznego, aniżeli system demokracji parlamentarnej. Wskutek tego w naszych warunkach miały mało szans urzeczywistnienia. Popularnem w dniach pomajowych hasłem z obrębu tego systemu było naprawdę tylko silniejsze oddzielenie władzy prawodawczej od wykonawczej. Związek Naprawy Rzeczypospolitej był grupą popierającą wprowadzenie systemu demokracji nie wyłącznie parlamentarnej na wzór istniejącego zresztą systemu prezydencjalnego w Stanach Zjednoczonych A. P., ponieważ uprawnienia prezydenta w Ameryce są tylko jednym ze szczegółów tego systemu.

Trzecią wreszcie drogą, która w roku 1936 stała dla Polski otworem, **było częściowe ograniczenie demokracji, rozszerzające ewentualnie jej podstawy społeczne,** jak to miało miejsce w reformie projektowanej przez konstytucję 3-go maja. Na dnie tej teorji leży często chęć ratowania bodaj w części demokracji przez jej ograniczenie. Najbardziej u nas znaną formą tych dążeń jest chęć wzmocnienia władzy Prezydenta, ale w inny sposób obieranego przez lud, aniżeli parlament, co stanowi jak wiadomo jedną z podstaw demokratycznego systemu amerykańskiego. Zainteresowanie tak zwanym szarym człowiekiem, należy również do rekwizytów tego kierunku, w tym zainteresowaniu chęć rozszerzenia troski o państwo na takie sfery, które przy systemie parlamentarnym dotąd mało ważyły poza spełnieniem aktu wyborczego. Jest to więc chęć dania rekompensaty społecznej za ograniczenie samej demokracji. Najbardziej pełne tendencje tego kierunku ograniczenia demokracji na rzecz pozademokratycznych czynników wyraziły się u nas w ruchu monarchistycznym po rewolucji majowej. Ruch ten miał jednak małe zawsze sukcesy, wobec istnienia wokoło naszego państwa samych państw niemonarchistycznych z wyjątkiem Rumunji, nie stanowiącej zresztą zbyt wielkiej siły atrakcyjnej.

Polska nie poszła żadną z tych trzech dróg. Ani dyktatura jednostki, lub partji, ani demokracja nowego typu, ani monarchja nie urzeczywistniły się. Uświadomieni zwolennicy wszystkich tych trzech systemów byli od początku w gruncie rzeczy bardzo nieliczni. Ponieważ nie może być jednak pustki ustrojowej, a każdy kraj póki może broni się przed anarchją, która z tą właśnie pustką jest identyczną, ktoś musi sprawować władzę, najłatwiej ten, kto już ją ma a zatem mniej lub więcej przypadkowi dzierżyciele najwyższych szczebli hierarchji urzędniczej. Władza taka a władza niemal bezosobowa, unikająca odpowiedzialności, najczęściej akcentująca tylko funkcje przez siebie wykonane, przy innych zasłaniająca się duchem czasu, lub wreszcie jakiejś osoby.

Niezawodnie nie jest to stan rzeczy dla kraju pożądany, ma jednak tę dobrą stronę, że właściwie niczego nie rozstrzyga, a przedewszystkiem nie niszczy jak dyktatura jednostki, czy partji, podstaw życia demokratycznego. Po dyktaturze może powrócić demokracja w jakiejkolwiek formie i jakiejkolwiek szerokości tylko nie w formie rewolucyjnej. Ten wypadek u nas nie zachodzi.

Należy zaznaczyć, że wszystkie przewroty w kierunku usunięcia demokracji w Europie środkowej i wschodniej powstały w krajach ubogich, czy zubożałych wskutek wojny. Stan kulturalny ogółu ludności w tych krajach nie był, z wyjątkiem Niemiec zbyt wysoki. Nigdzie też demokracja w obrębie tych państw nie była zbyt zakorzenioną ani nie miała silnej tradycji. Możnaby śmiało twierdzić, że kryzys demokracji we wszystkich tych krajach powstał wskutek niedojścia do tego stnnu demokracji, jaki w stosunku do tych państw przepowiadał Bryce. Pod tym względem zbliża się ten stan rzeczy do sytuacji we Francji po rewolucji w 1848 r. w czasie dyktatury Napoleona III.

Słyszałem bardzo pesymistyczne głosy o przyszłości Czechosłowacji, pielęgnującej kulturę demokratyczną, a otoczona przez kraje niedemokratyczne. Jak narazie nie zdaje się jednak, by jej z tem było gorzej, aniżeli innym krajom. Niechcąc się wdawać w przepowiednie, wolno jednak postawić przypuszczenie, że dzięki owej kulturze demokratycznej, będzie Czechosłowacja w możności w ten sam sposób przebyć światowy kryzys demokracji, jak przebędą go inne kraje tego typu. a więc Francja, Anglja, Szwajcarja i Stany Zjednoczone.

Co do Polski nie zdaje się by mogła wyrzec się i ona w pełni demokracji. Ma zbyt silne jej wielowiekowe tradycje i mimo wszystko głębokie do niej przywiązanie.

Zdaje się być pewnem, **że wypełnienie treścią i formą naszej próżni ustrojowej, wyrażającej się chwilowo rządami biurokracji najwyższej hierarchji jest nader aktualnem.** Dla uniknięcia nieporozumień dodam, że wymaga ten postulat większego wgłębienia się w istotę zagadnienia demokracji z jednej strony, a w kwestji utrzymania ciągłości i siły rządów, z drugiej strony, aniżeli to starał się zrobić, uchwalony przez Sejm w poprzednim roku, a przez Senat obecnie, projekt konstytucji. Stworzyć on może raczej jakieś nowe prowizorjum. Zdaje się zatem, że choć czas nagli, naród nie jest jeszcze gotów do pozytywnego działania. Może być. że dzieje się to z powodu trudności jakie wynikają z naszego położenia międzynarodowego, w sąsiedztwie państw o ustrojach państwowych, których naśladować właściwie nie pragniemy, a które jednak poniekąd ograniczają nas w wyborze form ustrojowych. Przyczyną także jednak może być, że część społeczeństwa zapatrzona jest jeszcze w niedawną przeszłość ustrojową przed majem 1926 r. formalnie jeszcze istniejącą, która to prze-

[1]) Dyktatura jednostki nie mogła też powstać, ponieważ jedyny człowiek, który mógł ją posiąść nie pragnął jej wcale.

Osły idą na trawę

Zainteresowanie czytelników gazet dyskusją parlamentarną było w tym roku znacznie żywszem niż w latach poprzednich. Jedną przyczyną był zapewne fakt, że **naogół członkowie rządów pomajowych unikają udzielania wielkich wywiadów,** publikowania głośnych artykułów, szary obywatel korzysta więc z tej okazji, by dowiedzieć się co myślą i co robią ministrowie — najbliżsi współpracownicy Marszałka. Z drugiej strony niewątpliwie **fakt zbliżających się wyborów** dodał temperamentu tegorocznej dyskusji sejmowej. Zarówno posłowie z Bloku jak i posłowie z opozycji mówili dużo i mówili wyjątkowo ciekawie. Przemówienia nosiły charakter programowy, mówcy liczyli się zapewne z faktem, że ich dzisiejsze słowa choć wypowiadane w znanej z nieakustyczności sali Sejmu będą mimo to komentowane za parę miesięcy na przedwyborczym w i e c u w Zgierzu czy Koninie.

A wreszcie jedna jeszcze okoliczność, która powoduje przykładanie przez nas większej wagi do przemówień rządowych. Oto do niedawna jeszcze przywódcy obozu Marszałka a między nimi i „pułkownicy" nie mieli wyrobionego i uzgodnionego programu gospodarczego. Obok liberalisty pułk. Matuszewskiego byli zwolennicy skrajnego etatyzmu. **Kryzys w pierwszej chwili zaskoczył** wszystkich. W drugiej swej fazie **doprowadza do ustalenia programu,** czego właśnie jesteśmy świadkami. I na szczęście okazuje się, że dzięki **smutnym doświadczeniom polityki filoetatystycznej** pierwszych lat kryzysu **górę bierze obecnie kierunek liberalny.** Dlatego mimo żeśmy już omawiali przemówienia poszczególnych ministrów uważamy za wskazane jeszcze uczynić ogólną reasumcję ich programu.

MIN. FLOYAR - RAJCHMAN

Za najważniejszą tezę Ministra Przemysłu i Handlu uważamy:

„Chińszczyzna gospodarcza nie jest rzeczą nową. Istniała w Chinach już od stuleci. Czem dalej na Wschód tembardziej rozpowszechniony jes zwyczaj inercji, bezwładu, lenistwa a nawet **szukania zysków w przywileju** (!).

Państwo tego popierać nie może. Państwo winno stwarzać warunki pracy i powstawania dochodów. Państwo może wpływać na podział dochodu społecznego ale **Państwo nie stwarza go. Przeciwnie — to inicjatywa społeczna i nawet jedno stkowa tworzy bogactwa".**

POSEŁ MIEDZIŃSKI.

Za najważniejszą tezę generalnego referenta budżetu uważamy:

„Wszystkie ręce. ręce skarbu, czy samorządów, czy ubezpieczalni spotykają się w kieszeni płatnika. **Trzeba tę kieszeń nieco zwolnić.** Trzeba powiedzieć, że jest ręka, która ma pierwszeństwo, a inne ręce muszą swoje apetyty, nawet teoretycznie najsłuszniejsze pohamować.

„. . . dochodzą mnie wiadomości że znowu przejawiają się w samorządzie tendencje zwyżki wydatków. Chciałbym zwrócić bardzo silnie rządowi uwagę, ażeby je **bezwarunkowo i na początku wstrzymał.**

. . . . Jeżeli chodzi **o przerosty ubezpieczeń** to mamy pod tym względem enuncjację p. premjera. Jest w tej sprawie sporo do zrobienia",

MINISTER PACIORKOWSKI

Powyższe 2 przemówienia **w zupełnej mierze odpowiadają wytycznym, które od szeregu miesięcy konsekwentnie i niezmiennie w „Problemach" czy „Buncie Młodych" głosimy:** Oszczędnie prowadzić machinę państwową, nie doprowadzać do ruiny warsztatów pracy wygórowanemi podatkami, zostawić przodujące miejsce inicjatywie prywatnej, nie hamować ale wspomagać raczej inwestycyjną gospodarkę. Również oboma rękoma podpisać się możemy pod tezami ministra pracy i opieki społecznej:

„Zaczynamy dochodzić do sytuacji paradoksalnej: **nasze ustawodawstwo socjalne oparte jest o zasadę budowy dużego i kosztownego aparatu opieki nad obywatelem, który w Polsce znajduje środki egzystencji.** Dopiero od tego momentu czuwamy nad jego zdrowiem, ubezpieczamy go od wypadków, zabezpieczamy rentę starczą, lub byt jego rodziny. **Ustawodawstwo nasze w tym zakresie przewyższa nawet ustawodawstwa wielu społeczeństw bogatszych** Cudzoziemcom nie jedno możemy pokazać. Ale nie mówimy im — a nawet sobie wyraźnie — że poza naszą opieką zostaje legjon rodzin, niekorzystających z żadnych urządzeń opiekuńczych, a niemających jednocześnie pracy".

Bo zastanówmy się, na czem ma polegać zdrowy program gospodarczy. Jaką drogą usuniemy bezrobocie? Czy drogą nakręcania konjunktury, drogą wielkich robót publicznych, które w rezultacie doprowadzą do naciśnięcia jeszcze śruby podatkowej, czy **na doprowadzeniu do tego, by fabryka, majątek ziemski i sklep dawały dochody, bo gdy ich dawać nie będą — to nie będzie miał kto płacić państwu podatków i państwo we własnym interesie musi stworzyć warunki by gospodarowanie było rzeczą rentowną, czyli przynoszącą dochody.** To jest zasada prosta, jasna jak słońce a tylko ostatni osioł nie może jej zrozumieć. Druga zasada, że państwo nigdy dobrym gospodarzem nie będzie, tylko jednostka będzie dobrze gospodarować, zasada wygłoszona przez ministra Floyar-Rajchmana też jest równie prosta i równie jasna i również osły nie mogą jej zrozumieć. Konstatujemy, że na miejsce osłów zaczynają przychodzić w sprawach gospodarczych do głosu ludzie mądrzejsi. Słowa posła Miedzińskiego o nadużyciach sekwestratorów, bałaganie w wymiarze podatków, przeciążeniu podatkowem winny być wywieszone w każdym urzędzie skarbowym, słowa min. Rajchmana o chińszczyźnie gospodarczej winny być umieszczone we wszystkich przedsiębiorstwach państwowych.

* * *

Po trzech latach walki publicystycznej stwierdzamy z radością, że okres próbnych programów gospodarczych rządów pomajowych zdaje się dobiegać do końca. Okazało się, że etatyzm Polski nie zbawił — tylko mocno w nędzy pogrążył. **Próby etatystów kosztowały — ale dały i doświadczenie.** Rząd prof. Kozłowskiego zdaje się posiadać już na zdrowych założeniach oparty program gospodarczy. Ponieważ rząd ten silnie od szeregu numerów atakujemy w resorcie spraw wewnętrznych — przeto z tem większą przyjemnością stwierdzamy, że w programie gospodarczym jesteśmy innego zdania. **Jeżeli linja polityczna głoszona** w lutym przez ten rząd na ulicy Wiejskiej, **będzie zrealizowana w praktyce** następnych 10 u miesięcy w biurach ministerjalnych — to rok 1935 będzie może ostatnim rokiem kryzysu w Polsce.

m. p.

M. BEREZOWSKI

Przygoda z Oraceni



Zamek królewski w Bran.

Latem wybrałem się w okolice Zaleszczyk. Urlop zapowiadał się wspaniale. Okolica i pogoda śliczne. Słońce, woda, owoce. Na książeczce P. K. O. wystarczająca snma na beztroskie dwa tygodnie.

Pewnego sierpniowego poranka zrobiłem wycieczkę nad Prut koło Śniatynia. Po dłuższej kąpieli i plażowaniu, postanowiłem jednak wrócić do miasta, podjąć trochę pieniędzy i wyszukać sobie jakieś locum do spania. Ruszyłem więc na przełaj w kierunku widocznego na górze miasta, i... od tej chwili zaczęły się przygody z tysiąca ! jednej nocy.

Wychodząc z za jakiegoś krzaczka natknąłem się na dwóch żołnierzy. Byli to żołnierze rumuńscy. Byli ubrani dość nędznie, na głowach mieli okrągłe kapelusiki, i bardzo niedbale trzymali karabiny.

Chociaż były one skierowane w moją pierś, mnie, niedawno zwolnionego podchorążego rezerwy, zaciekawiła przedewszystkiem zgoła nie żołnierska postawa tych ludzi.

Małą chwilę trwało wzajemne badanie się oczyma. Chciałem, bądźmy szczerzy, wiać — powstrzymały mnie jednak lufy karabinów. Niestety, później dopiero przekonałem się, że broń nie była naładowana, i że w Rumunji wszystko można zrobić łapówką.

Po tej niemej instrodukcji, Rumuni zasypali mnie potokiem słów, z których zrozumiałem tylko „la piquette“ i „dommendant“ ale wystarczyło mi to aby zrozumieć że jestem zatrzymany za nielegalne przekroczenie granicy i że czekają mnie różne przykrości.

A więc jestem za granicą. Cały mój ekwipunek składał się wówczas, z zegarka, trzech papierosów, 20 groszy, i bezwartościowej narazie książeczkę P. K. O. W dodatku byłem, bez marynarki, tylko w sportowej koszuli.

Ruszyliśmy. Po kilkanasto minutotowym marszu doszliśmy do stojącej przy szosie we wsi, chałupy, przed którą stała grupka, bardzo niejednolicie ubranych żołnieży.

Dwóch z nich miało jakieś naszywki, jednak konwojenci moi, nie zdawali bynajmiej żadnego raportu, a poprostu wdali się ze zgromadzonemi przed chatą w ożywioną a bezładną dyskusję. Oczywiście dotyczyła ona mnie,. Ja jednak nie mogłem się z niemi porozumieć.

Po małym kwadransie, jeden z żołnierzy wziął niechętnie karabin, i na migi dał mi do zrozumienia, że mamy iść.

Ruszyliśmy więc szosą w głąb Rumunji. Spacer nasz, różnił się bardzo, od sposobu konwojowania stosowanego u nas, Żołnierz nie prowadził mnie idąc o dwa kroki z tyłu, bagnetem na broni, uważając na każdy mój ruch. Bynajmiej, szedł obok mnie, jakby obok kolegi na przechadzce. Co parę kroków pokrzykiwał do dziewcząt, wracających właśnie z robót polnych, czasami nawet zatrzymywał się i doganiał mnie dopiero po paru krokach.

— Przy drodze stał mały domek. Na domku trójkolorowy szyld z napisem „Dibitt de tutun“

Przy pomiałem sobie że mam aż 20 groszy a niemam już papierosów. Trąciłem żołnierza — weszliśmy.

Za kontuarem stał brodaty żyd w chałacie.

— Sprechen sir deutschl? — zapytałem, uważając że żyd musi ten język znać.

— Ja, deutsch, und polnisch, und ruhenisch.

— Więc mówmy po polsku. Daj mi pan za te 20 gr. jakich możliwych papierosów, i wytłumacz mi pan co ten typ chce odemnie — rzekłem wskazując żołnierza i rzucając monetę na prymitywną ladę wiejskiego sklepiku.

Żyd poszwargotał z żołnierzem i wyjaśnił mi że idę na przesłuchanie do dowództwa kompanji granicznej.

— Ale tu nie Polska, tutaj jest bardzo źle — dodał po chwili z odcieniem żalu w głosie...

W odległości jakiegoś kilometra za wsią, przy szosie wznosi się odosobniony kompleks budynków. Przypomina to obejście bogatego osadnika. Duży budynek, kryty gontami, kilka szop, drabina przystawiona do strychu, wreszcie drób spacerujący po dziedzińcu. Wrażenie psuje tylko okazały piętrowy dom przy szosie i tablica z napisem „Corpul Granicelor 3 compania Ocrseni“

Jest to właściwie cel mego marszu, dowództwo i koszary kompanji grasicznej. Orasami jest to nazwa wsi, która w swej polskiej części nazywa nię Oraczyńce.

Weszliśmy w podwórzè i stanęliśmy przed drzwiami domu.

Oczekiwałem teraz zetknięcia się z jaką władzą, jednak mój konwojent nie zdawał znów żadnego raportu o dostarczeniu zatrzymanego.

Poprostu rozpoczął przyjacielską pogawędkę z kolegami, których w oka mgnieniu zjawiło się kilkunastu,

Przez dobrą chwilę odserwowałem z podziwem ich bardzo różnorodne umundurowanie.

Owijacze i długie buty; kurtki zwykłe zapinane pod szyją, angielskie „do krawata“, i wciągane przez głowy bluzy; wreszcie kapelusze, okrągłe angielskie czapki, i austryjackie pierogi z daszkami; jeden miał nawet na głowie galowy czarny hełm, rodzaj niemieckiej pikelhauby

Widząc że nikt się, mną specjalnie nie zajmuje, wszedłem, dość niepewnie zresztą, do sieni. Nikt mi nie przeszkodził,

W sieni zauważyłem troje drzwi. Te z prawej ozdobione były zrozumiałym napisem „Magasin“. Na środkowych widniał napis „Bucataria“, (po zapachach zorjentowałem się że jest to kuchnia), wreszcie na lewo „Dormidor“ (sypialnia).

Wszedłem do „Dormidoru“

Naprost drzwi znajdowało się coś w rodzaju prymitywnej szafy, dwumetrowej, mniej więcej wysokości. Przed nią warsztat szewcki w kącie stoi para niedbale rzuconych butów. Dalej szereg około dwudziestu, łóżek zasłanych również bardzo niedbale szaremi, żołnierskiemi kocami. Z drugiej strony stół z desek i dwie proste ławy. W drugim kącie stojak z karabinami, Na ścianie król Karol, wraz z małym Michałem. Całośc oświotlona stojącą na stole lampą naftową bez klosza. Zaczynałem czuć się coraz bardziej obcym.

Usiadłem przy stole, zrezygnowany i głodny. Kilku żołnierzy kończyło kolację składającą się z jakiegoś mętnego płynu z nielicznemi ziarnkami fasoli, i ciemnego chleba.

Po chwili przysiadł się do mnie młody, o inteligentnym wyrazie twarzy żołnierz, z szeroką czerwoną naszywką na naramiennikach.

Znał kilka słów francuskich i znacznie więcej ukraińskich więc mogliśmy się jako tako porozumieć.

Ow „serget“ (najniższy stopień podoficerski u Rumunów) wyjaśnił mi, że muszę czekać na dowódcę, kapitana, który pojechał na objazd odcinka i lada chwila wróci.

Potem opowiadł mi, że jest dumny że służy w korpusie granicznym, który jest najlepszą i najlepiej uposażoną jednostką w armji.

Między innemi dowiedziałem się, że dowódcą kompanji jest kapitan Georgescu.

Dobrze po dziewiątej wieczorem, zaturkotała bryczka, i do sali wszedł oczekiwany kapitan. Był to bardzo elegancki, tęgi pan w mundurze skom- Okrągła sztywna czapka z bardzo, plikowanym znakiem nad daszkiem, mundur z wykładanym kołnierzem, khaki koszula i krawat, bryczy i lakierowaae buty z ostrogami.

Zwrócił się do mnie po rumuńsku, bardzo ostrym tonem.

— Parle ons français? — zapytałem spokojnie. Kapitan zmienił się momentalnie.

Skąd się pan tu dostał? Co? Jak? Kiedy? — padły po francusku pytania jak karabinu maszynowego.

Orjentując się jednak, że trudno mi będzie odpowiedzieć, dodał.

— Chodźmy do mojej kancelarji, tam mi pan wszystko wyjaśni.

Poszliśmy. Badanie było nadspodziewanie miłe: krzesło, herbata, chleb, masło wędliny.

Opowiedziałem swoją historję.

Oczywiście on, kapitan G. wierzy we wszystko, ale prawo jest prawem. W każdym razie zostanę umieszczony nie w areszcie a w izbie żołnierskiej.

— Merci, bonne nuit ! — uścisk ręki, i idę spać.

Byłem oczarowany kapitanem. Co za maniery! Co za kultura.

Na drugi dzień jednak zobaczyłem taki obrazek: Na dziedzińcu liczna grupd żołnierzy wyprężonych na baczność. Jeden widać z nich cość przeskrobał, bo kapitan zbliża się do niego i mówi coś podniesionym głosem. Jeszcze chwila, kapitan podnosi rękę, policzek z prawej, policzek z lewej — poczem mój „wybitnie kulturalny“ kapitan spokojnie odchodzi,

W sali sypialnej — jak już pisałem stała szafa, wąska i wysoka przypominająca dziwnie kształty człowieka.

Popołudniu zauważyłem w czworokątnym otworze w drzwiach tej szafy ludzką twarz. Zdziwiony pytam mówiącego po ukraińsku żołnierza.

— Co to jest? czemu on tam stoi?

— A, to kaczor. On tam jest za karę.

Zdziwiłem się.

— On ma 7 dni. —

Nie wierzyłem. Ale później, w areszcie i w więzieniu kilkunastu ludzi mówiło mi, że w wojsku rumuńskim istnieje ten rodzaj karania.

Kaczor jest to szafa w której można tylko stać. Zamyka się tam na czas do trzeah tygodni o chlebie i wodzie.

Dokończenie na str. 6.



Wiatraki na stepie bessarabskim.



Chłopi spod Czerniowiec.

WITOLD GOMBROWICZ

USZY

— Jak sądzisz, kogo spotkałem wczoraj wieczorem w restauracji De Luxe?

Starego Ferdę Durkec, subjekta od pana Mose-man, u którego kiedyś pracowałem. Był to niedołęga i wszyscyście z niego kpili.

Szalenie bał się pana Mose-mana, a pozatembył tak chorobliwie nieśmiały, iż nie odważył się nigdy wypić na kolację więcej nad jedną kroplę mleka, a i to musiał zamykać się na klucz w wygódce, O tem by mógł zjeść kajzerkę z masłem nie było nawet mowy. On w de Luxe! Pożerający najdroższe potrawy, od selerów począwszy, a kończąc na orzechach! W towarzystwie dwu łajdaczek, głęboko wydekoltowanych, które poklepywał po plecach! W przytomności swego szefa, starego grubego pana Mose-mana, który patrzył na te wybryki od sąsiedniego stolika wzrokiem brzemiennym groźbą!

Ferdy nic sobie z nikogo nie robiąc wstał i zaczął się przechadzać po sali. Mało powiedzieć, że nie robił sobie nic z nikogo — zachowywał się jakby był sam w pokoju, to znaczy dłubał w uchu i mówił do siebie. Gdy jednak kazał podać wykałaczkę i zaczął nią dłubać w zębach, podśpiewując jednocześnie po nosem, cierpliwość ogólna się wyczerpała i kilku panów zwróciło się do niego, z żądaniem wyjaśnień.

— Aa, panowie — rzekł nonszalancko Ferdy, jakby dopiero co się zbudził z poobiedniej drzemki, kiwnął na nich i zaprowadził do wyjścia a gdy wyszli, zamknął za nimi drzwi. Następnie podszedł wprost do pana Mose-man, który już od dłuższej chwili pęczniał nieruchomo, wodząc za nim wzrokiem. Ferdy podszedł nonszalancko i bez słowa rozsiadł się wygodnie na kolanach pani Mose-man.

Pan Mose-man przetarł oczy i mrugnął. Ferdy bynajmiej się nie zmieszał, Wówczas Mose-man, blizki ataku apoplektycznego, rozpiął kołnierzyk i krawat. Ferdy nic, tylko jedną ręką bawiąc się twarzą pani Mose-man, drugą wyjadł panu Mose-man ananasową sałatkę z talerza. Mose-man, osłupiały, machinalnie rozpiął marynarkę. Terdy obtarł usta po ananasie włosami małżonki i policzył głośno od niechcenia cztery przednie zeby pana Mose-man. Ten, zbaraniały, zdjął marynarkę, a stary Durkee wziął pióro z kapelusza pani i dał mu po nosie. Wtedy Mose-man zdjął kamizelkę, spodnie i buciki, a gdy był już zupełnie nagi, Ferdy Durkec rozparł się wygodnie u pani Mose-man, jak w krześle i rzekł zimno: — Moje uszanowanie. Nareszcie cię mam w swojej mocy! Latami czekałem na tę chwilę. No i kto teraz jest nieśmiały? — No i co teraz? — dodał tryufująco, a Mose-man bezbronny i nagi na oczach całej sali stał przed nim, jak poborowy przed komisją. Ferdy wyznaczył na przydział do piechoty i możesz mi wierzyć, że już da mu szkołę. — Ale taka historja w de Luxe!

Dokończenie ze str. 2

DEMOKRACJA W POLSCE

wrócić już nie może, bo zginęła, inna zaś znów część społeczeństwa sądzi, że narazie wystarczy jąkiś paljatyw na krótką metę obliczony.

Tem naogół mało się kto ma u nas ochotę zajmować, ponieważ wytworzyła się cała kultura niedopowiedzeń, a z drugiej strony niewyjaśnionych form ustrojowych. Trzeba sobie jasno powiedzieć, ze istnieją i nadal trzy dla nas możliwości, z których któraś w ostateczności musi się ustalić, po wszystkich niezbyt szczęśliwych czasach przejściowych. **albo dyktatura, albo pełna demokracja, albo monarchja konstytucyjna, o formach demokratycz nych. W obu ostatnich możliwościach los demokracji nie byłby przesądzony ujemnie.**

Kryzys demokracji jaki się zarysowuje w krajach anglosaskich, we Francji czy Szwajcarji jest zupełnie innego typu. Moglibyśmy się nad nim nie zastanawiać, gdyby nie ta okoliczność, że choć nie on spowodował właściwe załamania się naszej demokracji, czynniki które go wywołują jednak posiadają i u nas znaczenie. Świat cały wskutek wojny wyszedł jakby ze swych trybów. Gospodarka liberalna po wstrząsie powojennym nie może stać się jak dawniej regulatorem życia gospodarczego. Stąd powstanie prądów etatystycznych, planowanej gospodarki i koncepcji totalnego państwa. Interesuje nas to zagadnienie w tej chwili tylko z punktu widzenia ustrojowego. Otóż nie ulega wątpliwości, że trudno o pogodzenie planowej gospodarki z demokracją, nie mówiąc już o pogodzeniu gospodarki etatystycznej z najbardziej demokratycznemi formami, jakiemy są samorządy. Stąd nie może nas dziwić, gdy Flandin chcąc ratować demokrację Francji stara się wracać do zasad gospodarki liberalnej. Wszak trudno wyobrazić sobie plan ogólny gospodarki, który mógłby pokrzyżować wolę jakiegoś miasteczka czy powiatu. Podobnie trudno jest wyobrazić sobie uplanowanie jakiegoś projektu gospodarczego przez liczną masę posłów sejmowych z natury rzeczy niezgodnych. Losy demokracji i to nietylko parlamentarnej zdają się być zagrożone równocześnie ze światopoglądem, liberalnym pod względem gospodarczym.

Czyżby to więc zatem koniec demokracji? Czyżby ten system, który dał tak wiele ludzkości, umożliwiając niesłychany rozwój sztuki i filozofji miał się już ku końcowi? Oczywiście niczego przewidzieć nie można. Prawdopodobniejszym jednak się wydaje, że demokracje znajdą jakiś sposób wyjścia z zagrażającego im stanu rzeczy. W gruncie bowiem rzeczy, takie kraje jak Stany Zjednoczone, Austrja czy Nowa Zelandja, też ogarnięta kryzysem demokracji, nie mogą wprost innej znaleźć formuły jak demokratyczną dla swego ustroju, z powodu braku wszelkich innych czynników czy to tradycyjnych, czy też takich w konfiguracji swej ludności — jak np. wojsko — któreby mogły inny stan rzeczy wymusić.

Bardzo ciekawą drogę wybrała Czechosłowacja. Zdaje się ona rozmyślnie nie brać pod uwagę kryzysu demokracji powstałego z przyczyn ogólnoświatowych, a jedynie stara się usunąć powody, które w tej części Europy gdzie i ona się znajduje, powodują kryzys demokracji. A zatem pracuje ona usilnie i nie bez sukcesu nad podniesieniem tego co możnaby nazwać kulturą demokratyczną.

Demokracja jest ustrojem gdzie wszyscy, jeżeii tylko chcą, mają możność choć trochę wpływać na losy swego kraju. Stąd koniecznym warunkiem by demokracja mogła się utrzymać, jest by ludność nauczyła się przezwyciężać instynkty samowoli i liczyć się z wolą inaczej myślących. Wyraża się to choćby nawet w pewnej wstydliwej, a jednak godnej uprzejmości. Podobnie jeszcze ważniejszym warunkiem jest by ludność nabrała pewnego wyrobienia i orjentacji tudzież posiadła pewien umiar w zagadnieniach ekonomicznych. Jest to ta postać materjalizmu, który się tak często zarzuca Czechom, bez którego raczej ludność będzie obalać tych co ją z rozsądkiem prowadzą, aniżeli dawać im pozytywną **pomoc pośrednią** głosami przez się dawanemi. Oczywiście wszystkie te czynniki stają się niebezpiecznemi bez gorącego, choćby nawet przytem dyskretnego, patrjotyzmu; ale o tem w demokracjach przy poczuciu, że się jest jakby współwładcą kraju, nigdy nie jest trudno, a specjalnie Czesi rozwinęli go w bardzo wysokim stopniu.

ADOLF M. BOCHEŃSKI

ZAGADNIENIE

ZAŁOŻENIA:

Trudno znaleść na świecie hasło polityczne, któreby nie posiadało jakiejś dobrej strony. Kurtuazja w stosunku do przeciwników poleca, by zaletę tą podnieść zaraz na wstępie, podkreślić i uwypuklić: *Antysemityzm jest głęboko demokratyczny*. To nie jest hasło skorumpowanych logiką i nadmiernemi studjami historycznemi intelektualistów: To raczej idea par exellence ludowa, pierwotna, żywiołowa.

W roku 1096, przed pierwszą wyprawą krzyżową, historja notuje cały szereg czysto ludowych wypraw w kierunku Konstantynopola. Po drodze lud oddawał się oczywiście pogromom. Bandy Volkmara wymordowały wszystkich żydów w Pradze. Oddziały Leisingena zajęły się pogromami w miastach nadreńskich. Znamiennym był fakt iż we wszystkich tych miastach *ówcześni* intelektualiści, z jednej strony biskupi, z drugiej wielcy panowie, z całą ostrością przeciwstawili się temu. W Spirze biskup Jan kazał poobcinać ręce pogromczykom. W Moguncji Rothard udzielił żydom schronienia w swym pałacu Cesarz Henryk I i Gotfryd z Bouillonu zwrócili się energicznie przeciw antysemityzmowi. Od roku 1096 do dziś stosunki niezbyt uległy zmianie. Jak wówczas tak i teraz antysemityzm jest raczej ideą ciemnego plebsu, wśród ludzi o wyższym poziomie kulturalnym znacznie słabsze znajduje poparcie.

Ten fenomen dziejowy stanowi zresztą częściowe wytłumaczenie stale przejawiającego się antagonizmu między prawicą Europejską a żydostwem, aczkolwiek na pierwszy rzut oka zdaje się być z nim w sprzeczności. Pewne odłamy prawicy, czując stosunkowo słabą siłę demagogiczną swych poglądów i haseł, starają się „odkuć" na antysemityzmie, jako na idei z gruntu ludowej a jednocześnie nie narażającej bezpośrednio interesów grup prawicowych.

Dziejowo ludowość antysemityzmu jest rzeczą pewną. Jak jednak wytłumaczyć ją logicznie? W doskonałej książce p. Jana Stachniuka p. t. Kolektywizm a Naród, znajduje się następująca anegdota rzucająca żywe światło na genezę tego faktu: W dwu sąsiednich wioskach, od wieków zżytych ze sobą, nastąpił nagle fakt, który wprost pozbawił je możliwości porozumienia się ze sobą. Oto w jednej ze wsi, upowszechnił się zwyczaj czyszczenia butów czarną pastą. Odtąd mieszkańców jej można było odróżnić według koloru butów. Następstwa były bardzo ważkie. Prysła przyjaźń, na jej miejsce wystąpiła obopólna pogarda i rozjątrzenie. Gdy zaszła konieczność powzięcia uchwały w jakiejś wspólnej sprawie, niemożliwością było znalezienia wspólnego języka. W tej anegdocie mieści się wytłumaczenie ludowego antysemityzmu. Rolę błyszczących butów w kwestji żydowskiej obejmują inne zewnętrzne cechy odróżniające rasę semicką od np. słowian. Człowiek pierwotny odczuwa wstręt do każdej grupy etnicznej posiadającej pewne stałe cechy odróżniające zewnętrznie. Stąd bierze się np. antagonizm Jankesów do rasy czarnej Wuja Sama. Ludzie stojący na wyższym poziomie kulturalnym o wiele mniej silnie odczuwają te pierwotne antagonizmy. Niewątpliwie odczuwają je w pewnym stopniu. W miejszym jednak jak zwykły lud.

Otóż ta biologiczna niechęć do ludzi o innym wyglądzie zewnętrznym, stanowi zasadnicze podłoże ludowego antysemityzmu. Jest to też powód dla którego trudno przypuszczać aby w bliskim czasie wzrost kultury wogóle usunął ten objaw. Niestety jednak grupy polityczne które wyzyskują antysemityzm dla swego dążenie do władzy, do biologicznego res-iduum dorabiają całą argumentację. Zależnie od talentu tych ludzi, argumentacja ta robi wrażenie mniej lub bardziej przekonywującej i silnej. Niepodobna oczywiście przypuszczać, iż inteligency antysemici głoszą świadomie hasła, które uważają za absurdalne. Argumenta wytworzone za niepamiętnych czasów przez wykorzystywaczy ludowego antysemityzmu tak się już zakorzeniły, iż poddawanie się jej nie może być bezwzględnie uważane za dowód intelektualnej niższości. Tak się tłumaczy np. masowy udział akademików w antysemityźmie. Niemniej jednak główna atrakcja antysemityzmu leży w jego oddziaływaniu na ludzi pierwotnych. Pomimo całego talentu Dmowskiego, na gruncie dyskusji intelektualnej, pozbawionej momentów idiosynkrazji rasowej, antysemityzm musi zawsze przegrać. Specjalnie zaś w Polsce. To ostatnie twierdzenie ma być zaś udowodnione w poniższych wywodach.

PUNKT WYJŚCIA:

Sprawę żydowską rozpatrywać będziemy ze stanowiska dość oryginalnego ze względu na nasze tendencje — ze stanowiska nietylko narodowego, ale nawet ściśle nacjonalistycznego. Nie znaczy to oczywiście aby autor powyższych wywodów odrzucał ograniczenie życia politycznego wskazaniami moralnemi. Znaczy to jedynie, iż pragnąc wzmocnić siłę ich działania, zmuszony jest jednocześnie konstatować ich beznadziejną słabość. To co Mickiewicz wysuwał we formie życzenia — „gwałt niech się gwałtem odciska" — to istnieje i tak. Ponieważ jednak gwałt innej grupy etnicznej jest odczuwany najmniej dziesięć razy silniej od gwałtu własnego, przeto trudno niestety przypuszczać aby odwoływanie się do uczuć sprawiedliwości miało odnieść praktyczny rezultat w stosunkach narodowościowych. Praktycznie wygląda to mniejwięcej tak: Mniejszość silnie uciskana przez większość narodową, zawsze prawie odpowiada jakimś gwałtem. Ten gwałt jest odczuwany przez większość o wiele żywiej jak wszystkie poprzednio zadawane przez nią mniejszości Na tej podstawie wytwarza się poczucie sprawiedliwości dalszych represyj. Odwoływanie się do uczuć moralnych w takich wypadkach nic pomóc nie może. Pozostaje jedynie odwołanie się do interesu narodowego i — dla humanitarystów — nieśmiałe dodanie frazesu Aleksandra I o daniu wolności Polakom, „il y a justice et bonne politique a la fois"..

Utrzymująca się w normach niezbyt rażących umysłowość człowieka cywilizowanego zdaje się zresztą posiadać znaczenie nietyle o ile chodzi o reakcję własnego kraju na niesprawiedliwość przez się popełnioną, ile na wrażenie jakie okrucieństwo wywołuje w krajach postronnych. Nie należy przypuszczać iż zmysł moralny w stosunkach międzynarodowych wogóle nie egzystuje. Międzynarodówka huliganów jest jeszcze znacznie słabsza od międzynarodówki ludzi porządnych. Ale rzeczą notorycznie znaną jest przytępienie wyostrzonego nawet zmysłu moralnego jeśli chodzi o... działalność własnego narodu. Nie mówmy więc o tem czy jest czy nie jest zgodnem z moralnością prześladowanie żydów. Mówmy tylko czy jest czy nie jest zgodne z interesami narodu i państwa polskiego.

Argumentacja zwolenników antysemityzmu opiera się zasadniczo na trzech wielkich dziedzinach. Na rozważaniach natury ekonomicznej, natury moralnej i natury politycznej. Zanim przejdziemy do wniosków pozytywnych musimy zbadać argumenty w wymienionych dziedzinach.

I. Argumentacja ekonomiczna.

Antysemityzm gospodarczy — a ten najsilniej działa agitacyjnie — związany jest ściśle z przeświadczeniem iż przymusowe zubożenie ludności żydowskiej w Polsce spowoduje automatycznie wzbogacenie ludności polskiej. To jest fundament teorji antysemickich w tej dziedzinie. Obszernie wywodził je — w odnieniu do Fenicjan — kapłan Pentaur, we „Faraonie" Prusa. Nie będziemy się tu wdawać w analizę gospodarczą zagadnienia w jakiej mierze interesy gospodarcze grup ludzkich są ze sobą sprzeczne, w jakiej zaś solidarne. Zagadnienie to stanowi niewątpliwie trzon dyskusyj ekonomicznych i to nie od lat stu. Nie mamy pretensji roztrzygać tych dyskusyj w tym czy w innym kierunku. Niewątpliwie istnieją pewne czynniki sprzeczne, pewne zaś równoległe w gospodarstwie społecznem, w stosunkach klas czy narodów. Ograniczymy się jednak do wskazania jednego momentu który wydaje się ważny. Poglądy naukowej ekonomji znajdują pewien dość znaczny, oddźwięk w życiu politycznem. Grupy czy stronnictwa polityczne opierają się na tych poglądach ekonomicznych które zdają się najlepiej odpowiadać ich programowi państwowemu. I tu przejawia się między dwoma grupami stronnictw zasadnicza różnica w sposobie podchodzenia do problemów gospodarczych. Różnica ta stanowi jeden z podstawowych sprawdzianów podziału na lewicę i prawicę. Prawica kładzie raczej nacisk na momenty *wspólnych interesów*, solidarności, lewica raczej na *sprzeczność interesów*, walkę klas. Odnosi się to raczej oczywiście do stosunków w obrębie jednego państwa. Otóż prawica opiera się niewątpliwie na tych teorjach ekonomicznych które zdają się świadczyć iż wzbogacenie się jednego człowieka, klasy czy narodu, nie stanowi jednocześnie powodu zubożenia drugiego, lecz wręcz odwrotnie, podciąga za sobą innych. Natomiast prądy lewicowe imają się raczej teoryj wskazujących na konieczność wywłaszczenia jednych grup ludzi w celu usunięcia „krzywdy" innych grup, często nierównie liczniejszych. Pierwszy sposób patrzenia na życie gospodarcze wiąże się z optymistycznym liberalizmem oraz z solidaryzmem; drugi — z marksizmem.

Jeżeli się raz przyjmuje iż wspólne interesy w gospodarstwie społecznem są silniejsze od sprzecznych, jeżeli hołduje się przekonaniu że większości narodu nie wzbogaci się przez przymusowe wywłaszczenie mniejszości, jeżeli wreszcie uważa się że bogacenie jednej grupy ludności nie powoduje ubożenia innych lecz wręcz odwrotnie — wtedy antysemityzm ekonomiczny staje się nonsensem. Natomiast jeśli hołduje się walce klas i marksizmowi i większy nacisk się kładzie na sprzeczność interesów ekonomicznych poszczególnych grup ludności, niż na ich zgodność — antysemityzm jest z punktu widzenia nacjonalistycznego uzasadniony. Gdybym był zwolannikiem idei Karola Marksa a jednocześnie narodowcem, gdybym był w Polsce członkiem Legjonu Młodych, lub Z. P. M. D. niewątpliwie byłbym antysemitą w dziedzinie gospodarczej. Temu stanowisku nie sposób w każdym razie byłoby odmówić logiki. Odmawiam ją bezwzględnie tym, którzy wierzą w zbogacenie Polaków — drogą walki z żydami. Trzeba być logicznym. Albo się przyjmuje że bogacenie się pewnej grupy obywateli państwa jest czemś gospodarczo szkodliwem dla całości — w takim razie; Hurra na burżujów, niech żyje Karol Marks. — wtedy antysemityzm ma sens. Albo jest się prawicowcem, w takim razie nie należy się martwić wzrostem kapitału żydów, lecz odwrotnie cieszyć się, widząc w nim zadatek wzrostu bogactwa całego kraju.

To samo zagadnienie posiada i inną stronę, niemniej ważną, Niedawno z właściwym sobie talentem uwypuklił ją Wacław Zbyszewski, czołowy publicysta już nietylko „Czasu" ale może i większej części cywilizowanej Polski. Jeżeli się jest wrogiem interwencjonizmu i etatyzmu, nie ma sensu jednocześnie domagać się niesłychanego wzmożenia ingerencji państwa na życie ekonomiczne w formie nieskończonej ilości zakazów ustawowych, tyczących się ludności. Nie ma więc potrzeby powtarzania tu inteligentnych wywodów cytowanego autora. Możnaby jedynie dodać do nich twierdzenie iż indywidualistyczne życie gospodarcze opiera się dziś prawie w całości na elemencie żydowskim. Wyeliminowanie tego elementu, w rezultacie przyniosłoby nowy olbrzymi postęp w kierunku biurokratyzacji gospodarstwa. Usunięcie najaktywniejszej gospodarczo części ludności zbliżyłoby prawdopodobnie Polskę do ideału *bułgarskiego*, t. zn. do kraju w którym obok włościan istnieją tylko urzędnicy. Jeśli żydzi nie są najbardziej uzdolnioną gospodarczo częścią ludności, nie ulega wątpliwości iż elementy bardziej uzdolnione bez żadnych przywilejów ustawowych zajmą należne im miejsce w hierarchji ekonomicznej kraju. Jeśli jednak są najbardziej uzdolnionemi, ich ograniczenie za pomocą specjalnego ustawodawstwa państwowego spowodować musi w konsekwencji zubożenie kraju. Dla wyżej wymienionych powodów, zubożenie ludności żydowskiej, osiągnięte drogą ustawową, nie może być uznane za rzecz pożądaną, i to właśnie z powodu interesów ekonomicznych polskich.

Chłopi białoruscy — obywatele państwa polskiego — żywią się wyłącznie kartoflami, gotowanemi po pięć razy w tej samej, raz posolonej, wodzie. *Jesteśmy krajem zbyt nędznym, by pozwolić sobie na inne kryterja w dziedzinie polityki ekonomicznej, jak zwiększenie jego z a m o ż n o ś c i.* Ograniczenie za pomocą ustaw zdolności konkurencyjnej tych sfer handlowych do których ludność ze względów gospodarczych kieruje się w tej chwili samorzutnie, byłoby połączone z nowem jej zubożeniem.

II. Argumentacja ideologiczna.

Zwolennicy walki z tak zwaną „ideologią żydowską" z dużą słusznością wskazują na fakt iż izraelici odznaczają się ogromnemi zdolnosciami propagandowemi i dlatego idee wywrotowe głoszone przez nich są specjalnie niebezpieczne. Nie ulega wątpliwości że olbrzymie rozpowszechnienie się chrześcijaństwa w początkach jego istnienia, było w dużej mierze spowodowane talentem propagandowym żydów. Jako wierzący i zdecydowany katolik nie mam zamiaru oczywiście przeczyć iż było to dziełem Opatrzności. Niemniej narzędziem opatrzności w tym wypadku był talent żydów. Podobnie rozpowszechnienie, stosunkowo szybkie, socjalizmu w XIX wieku było częściowo wywołane również przez talenty żydowskie. Po wojnie światowej zainteresowania intelektualistów żydowskich zwróciły się znów ku pacyfizmowi i wywierają duży wpływ idący w kierunku zwiększenia ilości zwolenników tej idei. To wszystko głoszą antysemici i to wszystko jest prawdą. *Wygląda to jednak inaczej, gdy przypatrzec się trochę zbliska.*

Przedewszystkiem pomijam w zupełności rzekomo ogromny wpływ żydów na życie seksualne aryjczyków. Naród francuski słynący z ilości papieru zadrukowanego poświęconego zagadnieniom z tej dziedziny, nie jest narodem semickim. Zresztą teorją „życia świadomego" nie zajmowałem się nigdy i nie mam zamiaru się nią zajmować. Jedyny aksjomat który pozwalam sobie wysunąć — to twierdzenie o słabym wpływie teorji na praktykę tego działu życia człowieka. To będzie aksjomat. Jeszcze jedno spostrzeżenie. Rocznik statystyczny z 1928 podaje iż rekord w dziedzinie przestępstw przeciw moralności miało województwo poznańskie. W dziedzinie dzieciobójstwa miało jedno z miejsc czołowych, Dość.

Odmiennie przedstawia się sprawa z pacyfizmem. Sprawę musimy postawić szczerze i jasno — bez obawy urażenia kogokolwiek. Pacyfizm przypisuje się najczęściej tchórzliwości żydów i ich niechęci do ofiary z życia. Ta djagnoza nie wydaje mi się słuszną. Pojęcie o tchórzliwości żydów wyrobiło się prawdopodobnie na podstawie wspomnień o żydach otoczonych przez niechętną czy nawet wrogą im masę krajowców. To tchórzliwość krawca Kaima z „Burłaków z nad Wołgi". W normalnych warunkach żydzi nietylko nie odznaczają

ANTYSEMITYZMU

się brakiem temperamentu bojowego i heroizmu, lecz posiadają te cechy właśnie w specjalnie dużym stopniu. By przekonać się o tem wystarczy przeczytać parę stron biblji, czy Józefa Flawiusza. Pacyfizm żydowski znajduje swe wytłumaczenie poprostu w układzie stosunków politycznych. Żydzi nie posiadając *swejej własnej* armji, nie odnosząc *swoich* zwycięstw, nie ponosząc nawet *swoich* klęsk nie byli wprost w stanie zrozumieć wrażeń jakie te rzeczy budzą u innych narodów. Nacjonalizm i patryjotyzm — antidotum bezwględnegp pacyfizmu, u żydów nie istniał w stosunku do państw europejskich. Oczywiście poza nielicznemi wyjątkami, najzupełnie zaasymilowanemi. Wyjątki te w Polsce nie są wcale tak nieliczne zresztą jak niektórzy sądzą. Niemniej nie przeczą regule. Twierdzę że żydzi stali się heroldami międzynarodowego pacyfizmu dlatego, że ofiary które pociąga za sobą każda wojna nie były ofiarami składanemi na ołtarzu ich sprawy narodowej, że były ofiarami składanemi na ołtarzu obcym.

Okresem największego natężenia żydowskiej propagandy pacyfistycznej były lata od 1920 do 1934 roku. Jej najwybitniejszem dziełem były niewątpliwie „Hymny" Witlina. Okres 1920-1934 był jednocześnie żywiołowym okresem rozwoju idei sjonistycznej. W tym zbiegu dwu prądów nie ma nic dziwnego. Jakżeż często się zdarza, iż idea skazana na zagładę czy dekadencję, najsilniej wybucha w ostatnich latach swego istnienia?. Czyż okres powojenny nie był jednocześnie okresem rozkwitu i... zaniku parlamentaryzmu?

Trumpeldor! To nazwisko nieznane jest prawie zupełnie szerszemu ogółowi polskiemu. A przecież jednocześnie staje się ono symbolem, staje się hasłem ogromnej większości narodu żydowskiego. Trumpeldor, to było nazwisko tego dowódcy milicji żydowskiej w Palestynie który padł śmiercią bohaterską, we walce z Arabami w roku 1920. Każdy kto przeglądał w roku bieżącym prasę sjonistyczną wie dobrze że żaden naród tak nie czci któregoś ze swych niedawnych, poległych bohaterów, jak naród-żydowski Trumpeldora. Ani francuzi Guynemer'a, ani Polacy ks. Skorupkę, ani nawet Niemcy Schlagetera... Najbardziej pacyfistyczny naród- najsilniej czci swego militarystycznego herosa? Oczywiście. Żydzi byli bowiem przeciwnikami militaryzmu do chwili, w której zaistniała możliwość militaryzmu żydowskiego.

Najwybitniejszy publicysta pochodzenia żydowskiej powyżej lat 40 — Słonimski — jest zdecydowanym pacyfistą. Najwybitniejszy żydowski publicysta poniżej lat 30 — Roman Brandstaetter — jest militarystą, jest czcicielem Trumpeldora. Twierdzę z całą stanowczością iż podtrzymywanie przez żydów uniwersalnej idei pacyfizmu to objaw szczątkowy, który w bliskim czasie zostanie zmieciony z powierzchni. Proces ten będzie się odbywał stosunkowo do wzrastania roli Palestyny w życiu djaspory,

Dość podobnie przedstawia się sprawa z komunizmem. Omówił ją obszernie i świetnie Ksawery Pruszyński w numerze żydowskim „Buntu Młodych", pisał o niej i w „Słowie" St. Mackiewicz. Przy wyborach do żydowskiej bratniej pomocy we Lwowie (U. J. K.) na kilkaset głosów sjonistycznych, padło zaledwie 30 komunistycznych. Komunistów w całym tego słowa znaczeniu wyrzucono przez okno. Jeżeli jest jakaś idea groźna dla przyszłości narodu żydowskiego i dla jego świadomości narodowej to napewno nie jest nią hitleryzm. Jest nią natomiast komunizm. To jest ta uniwersalna idea ktoraby mogła dokonać procesu asymilacji żydów. Gdzie są dziś ci żydzi którzy w pierwszych wiekach przeszli na chrześcijaństwo? A było ich bardzo, bardzo wiele. Wzrost sjonizmu, wzrost idei narodowej żydowskiej pociąga więc za sobą zmierzch komunizmu mas żydowskich. Są to oczywiście procesy które potrwają jeszcze — być może dość długo. Niemniej linje rozwojowe idą w kierunkach przedstawionych powyżej.

Pp. Henrykowie Roliccy mieli trochę racji gdy pisali o „zmierzchu Izraela". Zmierzch ten jednak pojmuję zupełnie inaczej jak oni.

Okres końcowy XIX wieku i pierwsze ćwierćwiecze XX cechował silny wpływ myśli żydowskiej na życie ideowe Europy. Natomiast w ciągu XVII i XVIII wieku wpływ ten był w niesłychanej wprost mierze — słabszy. Różnica ta nie pochodzi oczywiście ze słabszej inteligencji żydów w XVIII wieku, lecz z charakteru ich wierzeń i idei. W XVIII wieku — z pewną nieodzowną oczywiście symplifikacją — fanatyzm żydów odnosił się do wierzeń wyłącznych, tyczących się tylko ich samych, w praktyce niedostępnych dla innych narodów. Osłabienie wierzeń religijnych w XIX wieku spowodowało opanowanie djaspory przez idee bardziej uniwersalne, odnoszące się do wszystkich narodów. Tu leży miara różnicy wpływu umysłowości żydowskiej w obu wymienionych wiekach. Jedynym narodem pozyskanym przez nacjonalistyczną religję Żydów, był szczep Chazarów, dzisiejszych Karaimów. Ileż tych nowoczesnych Chazarów w XIX wieku nawróciła uniwersalistyczna propaganda marksizmu?

Otóż to co obserwujemy dziś, to przedewszystktem nawrót narodu wybranego do ideologji ekskluzywistycznej, narodowej. Powiedzmy poprostu. Nawrót do ideologji nacjonalistycznej. Rezultat tej ewolucji wydaje się zupełnie pewny. Nastąpi ogromne zmniejszenie wpływu neo-ekskluzywistycznej umysłowości żydowskiej na inne narody, jednocześnie zaś nastąpi ogromne podniesienie Żydów, jako narodu w hierarchji politycznej. Przyznaję, iż nie mam powodu do zmartwienia, ani z pierwszej, ani z drugiej konsekwencji. Lewicowe i pacyfistyczne oddziaływanie umysłowości żydowskiej, nie wydaje mi się bowiem korzystne dla państwa polskiego. Powstanie państwa żydowskiego, nie jest w niczem sprzeczne z jego interesami.

III. Argumentacja Polityczna.

Ostatnio wymieniona sprawa wiąże się już bezpośrednio z polityczną argumentacją antysemitów. Teorja państwa narodowego, jest dziś w Polsce tak słabo rozwinięta, iż jej zwolennicy nie wyciągnęli jeszcze odpowiednich wniosków z istnienia rozmaitych, do siebie zupełnie niepodobnych, kategoryj mniejszości narodowych. Na innem miejscu (por. Droga nr. 10 z. r.) uczyniliśmy próby ich klasyfikacji z tego punktu widzenia. Otóż, Żydzi należą do tej grupy mniejszości, która nie posiada w pobliżu własnego państwa i do utworzenia go, nie dąży, (również nigdzie w pobliżu). Jest to moment niesłychanej wagi. Jeśli bowiem weźmiemy pod uwagę rolę żądań terytorjalnych w konfliktach międzynarodowych, to odrazu już zrozumiemy, iż mniejszość, która pod adresem państwa nie wysuwa żadnych żądań terytorjalnych, ustosunkowuje się doń tak, jak polityka państwa do mniejszości. Spory terytorjalne nie są — rzecz oczywista — jedynym powodem konfliktów międzynarodowych. Pobieżna znajomość historji jednak wystarczy, aby stwierdzić, iż są jednym z najgłówniejszych. I tu, w tej różnicy między Żydostwem a innemi mniejszościami, tkwi przyczyna, dla której rozwój nacjonalizmu żydowskiego, w przeciwieństwie do innych, nie może być uważany za szkodliwy dla państwa.

Żydzi są niewątpliwie siłą międzynarodową. Są wielką siłą międzynarodową. Przeciwnicy antysemityzmu zazwyczaj zarzucają przesadę autorom twierdzeń o „6 mocarstwie". Przyjmijmy jednak, że ci ostatni mają rację, siła wpływów międzynarodowych żydowstwa jest tak znaczną. Cóż więc z tego wynika? Naiwnym wrogom „międzynarodówek", wydaje się, iż każda siła międzynarodowa, czy to będzie wyznanie, czy idea, czy nawet naród bezpaństwowy, jest ipso facto szkodliwą i niebezpieczną dla państwa. Zapominają oczywiście, iż wszyscy najwręksi mężowie stanu, sukcesy swe zawdzięczali właśnie umiejętnemu skojarzeniu wskazań racji stanu, ze siłą którejś potęgi międzynarodowe. Filip II, współpracował z kontreformacją, Richelieu z niemieckim protestantyzmem, Cavour z ideą samostanowienia narodów, Palmerston z liberalizmem, Gorczakow z prawosławiem bałkańskiem i t. d. Są siły międzynarodowe sprzeczne z racją stanu państwa. Są i siły z nią zgodne. Jedną z największych zalet męża stanu, jest *pochwycenie w swe żagle państwowe, sił międzynarodowych.* Nie wystarczy powiedzieć, że żydzi są siłą międzynarodową, by z tego już wynikało, iż siła ta jest szkodliwą dla państwa polskiego.

Wprost odwrotnie. W tej chwili wydaje się pewnem, że jeżeli jest na świecie jakaś siła międzynarodowa, która ma interesy zbliżone z polską racją stanu, to jest nim z całą pewnością sjonizm, narodowe poczucie żydów. Nie będziemy się tu spierać o pokojowe nastawienie Polski do swych sąsiadów. Zawarliśmy z niemi pakty o nieagresję, i nie moje artykuły potrafią te pakty rozerwać. Niemniej jasnem jest, iż jeżeli Rzeczpospolita Polska znajdzie się kiedyś w poważnem niebezpieczeństwie, to pochodzić ono będzie albo od hitlerowskich Niemiec, albo od komunistycznej Rosji. Jeśli zapoznamy się teraz z publicystyką żydowskiego obozu narodowego, przekonamy się z największą łatwością, iż właśnie w tych dwu kierunkach zwraca się najsilniej ostrze antagonizmu żydowskiego. Asymilacja i eksterminacja: oto dwa niebezpieczeństwa zagrażające współczesnej mniejszości narodowej. Asymilacja grozi narodowi żydowskiemu ze strony idei komunistycznej. Eksterminacja zagraża jej ze strony idei rasistowskiej. Interesy polskiej racji stanu i nacjonalizmu żydowskiego nietylko nie są ze sobą sprzeczne, ale są ze sobą idealnie równoległe. Działanie tej zgodności zaczyna już dziś przejawiać się na polu propagandy antyniemieckiej uprawianej przez Żydów.

Tak by się przedstawiała sprawa ze zewnętrzno politycznego punktu widzenia. W polityce wewnętrznej antysemityzm uniemożliwia normalne funkcjonowanie instytucyj wolnościowych i parlamentarnych. Stałe bowiem opozycyjne nastawienie przedstawicieli trzech miljonów obywateli w sejmie, oraz sojusz ich z elementami antypaństwowemi jeszcze silniej skomplikowałby, i tak trudny do prowadzenia, aparat demokracji polskiej. W tej dziedzinie najtrafniej i najdalej spojrzeć odważył się nie kto inny, tylko antysemita i endek... St. Grabski. Jego ugoda z kołem żydowskiem, oparta z jednej strony na przywilejach w dziedzinie szkolnictwa narodowego, z drugiej na poparciu koła żydowskiego dla każdorazowego rządu polskiego, dawała idealne rozwiązanie tej sprawy na krótką metę. Na dłuższą nie jest wykluczone, iż należałoby się zwrócić do systemu kurji narodowościowych i do pewnego typu autonomji personalnej, wzorowanej na dawnych „Waadach" Rzeczpospolitej. O tem jednak pomówimy może kiedyś innym razem, ale dzisiaj nie.

Jasnem jest w każdym razie, iż antysemityzm polityczny byłby zupełnie niepotrzebną walką z siłą która w tej chwili posiada interesy dziwnie zbliżone z polską racją stanu. Dość mamy nieprzyjaciół koniecznych, byśmy mieli szukać walki z tymi których interesy są wspólne.

KONKLUZJE:

Dobiegamy do końca naszych rozważań. Propagandzie antysemityzmu w Polsce zmuszeni jesteśmy zarzucić nieodpowiedzialność. Jedynym jej praktycznym wynikiem może być bowiem doprowadzenie 3 miljonowej masy obywateli państwa do stanu czarnej, beznadziejnej rozpaczy. Czy będzie to rezultat wzmacniający państwo Polskie? Odpowiedź nie wydaje się potrzebną.

Eksperyment antysemityzmu na tą skalę zastosowany został właściwie już raz jeden. Nie mówię o Niemczech, gdzie prześladowanie stosunkowo nieznacznej ilości żydów, doprowadziły jedynie do obrzydzenia odczuwanego w stosunku do oprawców przez wszystkich cywilizowanych europejczyków. Eksperyment antysemityzmu na wielką skalę, wraz z masowem wysiedlaniem, zakazami pobytu, pogromami etc. zastosowano w Rosji carskiej. Rezultatem było wtrącenie większości żydów do stanu beznadziejnej nienawiści i rozpaczy, a co zatem idzie do akcji antypaństwowej. W Polsce wiąże się niekiedy antysemityzm ze zwalczaniem komunizmu. Twierdzę że jeżeli komunizm zwyciężył w Rosji, to stało się to także i dlatego, że od czasów Ignatjewa stosowane tam były regularne prześladowania znacznej grupy obywateli — narodowości żydowskiej.

Wierzę i chcę wierzyć, że Polska będzie krajem etyki chrześcijańskiej, sprawiedliwości i prawa. Wierzę iż nie dopuścimy nigdy do pogromów, do masowych konfiskat, do eksterminacji narodowościowej. Na drodze dążenia do dobrobytu i do swobody kulturalnej wszystkich obywateli, znajduje się Polska mocarstwowa. Dlatego obowiązkiem każdego prawdziwego mocarstwowca powinno być czynne przeciwstawienie się w każdym wypadku, choć by był jednym przeciw stu, próbom gwałtu i okrucieństwa. Nakazuje to nietylko poczucie honoru w stosunku do słabszych, ale także i dobrze zrozumiany nacjonalizm polski.

Adolf M. Bocheński

P. S. Są oczywiście zagadnienia na które antysemici często wskazują, a które powinny znaleść jakieś praktyczne rozwiązanie. Z tego zdają sobie sprawę najlepiej sami intelegentni żydzi. Wymieniamy tu np. nadmierną koncentrację żydów w handlu i w wolnych zawodach.

Dokończenie ze str. 3

PRZYGODA Z ORACENI

Wypuszcza się na godzinę dziennie. Są karcery o ścianach **najeżonych gwoździami** aby uniemożliwić opieranie się o ściany. W takich najdłuższa kara wynosi tydzień. Oczywiście po takiej karze delikwent idzie do szpitala.

Wikt.

Żołnierz dostaje na śniadanie kubek mało słodkiej herbaty i 1/4 kg. chleba, który ma mu starczyć również do obiadu. Obiad jest to około 1/2 litra zupy z zrzadko spotykanemi ziarnkami fasoli. To samo na kolację plus dalsze 1/4 kg. chleba. U nas w pułkach jada się 10 razy lepiej.

Jeden z żołnierzy oddziału, był kiedyś w Polsce. Zdezerterował przed wojskiem, siedział w Stanisławowie w więzieniu, potem pracował w Kołomyi.

Wrócił jednak odwiedzić żonę, i oto służy.

Spytałem go jak mu się w Polsce podobało.

— Taż panoczku, u was w turmie łuczsze jak tut przy wojsku.

Po dwudniowym pobycie w koszarach (na jedzenie sprzedałem zegarek), odprowadzono mnie na wiejski posterunek żandarmerji, skąd miano mnie przekazać do sądu do Czerniowiec.

Żandarmerja obok zwykłej policji pełni w Rumunji służbę bezpieczeństwa. W każdej najmniejszej nawet wiosce jest dość dobrze obsadzony posterunek, przyczem żandarmi jako poborowi, powoływani na 4 lata, nie pobierają gaży. Otrzymują jedynie 11 lei (50 gr.) dziennie na wyżywienie,

To dobre traktowanie i względna swoboda jakiemi cieszyłem się w koszarach, skończyło się bezpowrotnie. Narazie zamknięto mnie w kuchni, zwykłej wiejskiej kuchni, chociaż z kratami w oknie,

Po chwili wszedł komendant posterunku podoficer zawodowy w stopnin „plutonowego" (sierżanta).

— De undi jesti? (skąd jesteś) — zapytał. Wówczas nie rozumiałem tego jeszcze, odpowiedziałem po polsku, że nie rozumiem, i w tej chwili... dostałem uderzenie w twarz.

Nie zastanawiając się, z miejsca odwaliłem mu takiego sierpa, że oparł się dopiero dwa metry dalej, na stole.

W tej samej chwili rzuciło się na mnie czterech żandarmów. Jakiś czas zadawałem i odbierałem ciosy, starając się dostać do stojącej w kącie siekiery, powalili mnie jednak i skuli ręce zwykłym krowim łańcuchem. Dostałem jeszcze parę uderzeń, których nawet z wściekłości nie czułem, poczem związano mnie w kij i zostawiono na całą noc.

Rano zjawił się u mnie żandarm i bez słowa rozwiązał mi nogi, rąk jednak dla pewności nie rozkuł. Dziękowałem zato Bogu z całego serca, gdyż dzięki temu ominęło mnie porządkowanie budynku (była właśnie sobota).

Porządkowali bowiem aresztanci. Jakiś dość przyzwoicie ubrany żyd (również nielegalne przejście granicy) i młody chłopak, Ukrainiec z tejże wsi zatrzymany za jaką burdę na weselu.

Choć sam byłem zakuty w kajdany, z prawdziwą przykrością patrzyłem na ohydne poniżenie jaką była ich praca. Od rana szorowali powynoszone na dwór stoły i ławy, Potem przez kilka godzin z rzędu, na klęczkach myli podłogę ohydnemi brudnemi szmatami zanurzanemi w cuchnącym kuble. To nic jeszcze zresztą — ale każde niedociągnięcie, czy cień nawet opieszałości, karane było potężnym kopniakiem, czy „biciem w twarz i głowę".

To też trudno się dziwić, że ci ludzie pracowali z nienormalnym wprost pośpiechem. A pracowali o głodzie i od rana do piątej popołudniu.

O piątej dostali po talerzu zimnego kapuśniaku. Ja oczywiście jako buntownik nic nie dostałem.

Po pewnem czasie zawołano mnie do kancelarji. Za biurkiem siedział komendant, i za pośrednictwem młodego żyda mówiącego po polsku zaczął zadawać mi pytania i wpisywać je do jakiegoś kwestjonarjusza.

— Imię i nazwisko?

— Imiona rodziców?

— W wojsku służył?

— Tak.

— W jakiej broni?

— W piechocie.

— Stopień?

— Kapral — podchorąży rezerwy.

Nie zrozumiał; tłómaczę mu jak mogę; wreszcie pyta jaką miałem funkcję.

— Dowódca drużyny.

Mój interlokutor, grzeczniejszym już tonem pyta dalej.

— Jak są rozmieszczone pułki w Polsce, co wiem o uzbrojeniu i t. d.

— Na to nie odpowiadam — mówię zastanawiając się czy pociągnie to dla mnie nieprzyjemne konsekwencje. Ale nie. Pan komendant probuje perswazji. Dochodzimy do porozumienia. On będzie pytał, a ja odpowiem na to co uznam za stosowne.

Na kilka pytań na tematy ściśle w o j s k o w e odmawiam odpowiedzi, wreszcie pada pytanie.

— Czy w Polsce mosty są strzeżone?

— Co?..

— Czy stoją warty wojskowe przy mostach?

Później dowiedziałem się, i zresztą sam w Czerniowcach wiedziałem, że mosty są dzień i noc strzeżone przez wojsko. Podobno z obawy przed zamachami.

Ale wówczas pytania te potraktowałem jako dobry żart, i ze śmiechem prawie odpowiedziałem że, oczywiście nie.

Jeszcze kilka pytań o koleje i przemysł, Nie odpowiadam i badanie skończone.



Pałac metropolity w Czerniowicach.

Teraz jeden z żandarmów bierze ze stojaka karabin, nabija go i kieruje do mnie. Przyznam się, że byłem trochę w strachu. Ale nie, Trzeba tylko podpisać zeznanie. Pod grozą lufy zdejmują mi łańcuchy, zdrętwiałą, niemogącą utrzymać pióra ręką z trudem podpisuję, poczem zakuwają mnie natychmiast znowu.

Niema co — jestom niebezpiecznym człowiekiem, łamanym językiem ukraińskim wyjaśniają mi:

— Za ce sza żandari choczesz byty.

Ta sława „niebezpiecznego człowieka" zaoszczędziła mi dużo przykrości następnego dnia w czasie trzydziestokilometrowego marszu do Czerniowice. Wprawdzie całą drogę odbyłem w łańcuchach, i z pustym od 30 godzin żołądkiem, ale nikt nie tknął mnie palcem.

Mój towarzysz zaś, ów żyd, na każdym z czterech posterunków, gdzie zmieniali się konwojenci, był bity i maltretowany,

Wreszcie doszliśmy do Czerniowice. Tamtejszy komendant żandarmski, był to przyzwoity człowiek, i mówił po niemiecku.

Po przesłuchaniu mnie, natychmiast zdjęto mi kajdany, sporządzono na moje żądanie protokół moich zeznań o postępowanie na posterunku w Oroseni i obiecano że winni będą ukarani.

Pozatem dałem jednemu z żandarmów pieniądze (z dużym naddatkiem) za które przyniósł mi jedzenia i papierosów, poczem poczęstowano mnie herbatą.

Traktowano mnie teraz, jak więźnia wsprawdzie, ale zupełnie grzecznie.

Areszt mieścił się przy prefekturze policji, zbudowany był jeszcze za czasów austryjackich.

Urządzenie bardzo porządne czysto i przestronnie,

Wchodziło się tam, przez pokoik dyżurnego, rodzaj kancelarji, następnie jest dwupiętrowy długi hol rodzaj korytarza z balkonikami na każdem piętrze, Wchodziło się na nie po kręconych żelaznych schodach. Na każdem piętrze, kran nad zlewem, jak w pierwszej lepszej kuchni warszawskiej.

Na każdem piętrze po obu stronach znajdowały się zele. Było ich zdaje się 12 na piętrze. Ja dostałem się do celi Nr. 8 na parterze. Cela była, wysoka czysta, do ściany przybity był żelazny tapczan z siatką drucianą, po drugiej stronie takiż przybity do ściany stolik i krzesełko na zawiasach.

Przy drzwiach z jednej strony kaloryfer, ze stojącą na nim butelką z wodą, z drugiej strony,.. okrągła muszla klozetowa na szczęście spłukiwana przepływająca bez przerwy wodą.

W celi było dwóch lokatorów z ostrzyżonemi do skóry włosami.

Moi nowi współmieszkańcy, przedewszystkiem zasypali mnie pytaniami, poczem roztoczyli przed moimi oczyma, obraz nadzwyczaj czarno przedstawiający Rumunję wogóle, a w szczególności jej sądy i więziennictwo — Jeden z nich, rudy żyd, z Warszawy dostał się tu chcąc bez paszportu dojechać do Palestyny. Drugi był zato tylko zwykły czerniowiecki kieszonkowiec.

Byłem niestetety b. zmęczony więc mało co z tego zrozumiałem. Przenocowaliśmy we trzech na łóżku powiększonem przez dostawienie ławy,..

Rano zawołano mnie, na górę, gdzie w jakiejś kancelarji, sfotografowano mnie, zdjęto odciski z wszystkich dziesięciu palców i odesłano do celi.

Zapytałem, kiedy dostawią mnie przed sąd, i zażądałem natychmiastotowego zawiadomienia Konsula Polskiego.

— Jutro będzie pan doprowadzony do sądu, a przed tem do Konsulatu...

Wróciłem do celi — Moich współtowarzyszy już nie zastałem. Nudziłem się więc sam. Koło godziny drugiej poczułem, że głód zaczyna mi dosłownie skręcać kiszki. Zastukałem do drzwi. Dozorca który otworzył mi dzwi, zapytałem o jedzenie.

U nas w areszcie policyjnym się nie karmi, jeżeli pan ma pieniądze, to mogę kupić w mieście.

Miałem jeszcze troszkę pieniędzy, otrzymanych za zegarek. Około 40 lei. Musiałem więc oszczędzać. Zapytałem więc ceny, chleba, tytoniu i zapałek.

— „Chleb 10 lei, tytoń 7 lei, zapałki 2 leje, ale u nas palić nie wolno".

Brak palenia bardzo mi dolegał, więc pomny co mówili mi wczorajsi „koledzy" o korupcji rumuńskiej, zaryzykowałem.

Dałem mu 25 lei i powiedziałem;

— „Niech pan jednak przyniesie tytoniu też, a zato reszta dla pana".

Drugiego dnia wydałem ostatnie kilkanaście lei i w dodatku dzieliłem się prowiantami z danym do mojej celi nowym lokatorem.

Był to nawet Polak. Mały, garbaty, z jedną nogą krótszą, miejscowy szewc.

Aresztowano go w związku z jakąś kradzieżą.

Zabrano go z domu bez grosza, nie pozwalając na wydanie jakichkolwiek poleceń. Był wdowcem, i mieszkał sam, więc nikt z własnej inicjatywy nie zatroszczył się o niego.

Mimo obietnic do konsulatu nie zaprowadzono mnie, ani drugiego, ani nawet trzeciego dnia. Ponieważ wydałem wszystkie pieniądze, więc trzeciego dnia głodowaliśmy obaj.

W czwartym dniu znajomy policjant przyniósł szewcowi pół kilo chleba i ćwierć kiełbasy; musiało starczyć nam obu na cały dzień. To samo następnego dnia,

Wreszcie szóstego dnia, w sobotę zaprowadzono mnie do Konsulatu.

I tam zobaczyłem się w lustrze, Wyglądałem strasznie. Nieogolony od tylu dni, w koszuli szarej od brudu, w pomiętych spodniach, W oczach jakieś gorączkowe blaski, wargi popękane z głodu.

Trudno się też dziwić, że urzędnik, który miał sprawdzić moją tożsamość, wsiadł na mnie z miejsca, nie dając mi dojść do słowa.

— Po coście tu przyszli — czy myślicie, że tu nie mamy lepszej roboty, jak was wyciągać — w tym tonie mnie przywitał.

Czasie tej perory z pliku różnych dotyczących mnie rum. protokułów, wypadł kartonik mojej legitymacji na odznakę Szkoły Podchorążych.

Urzędnk spojrzał i z miejsca zmienił ton.

— Pan jest podchorążym? Skąd się pan tu wziął w takim stanie?

— Chcę właśnie o tem mówić.

Proszę, niech pan siada — wskazał mi krzesło, poczem złożyłem szczegółowe sprawozdanie do protokułu.

Następnie rozmawiałem z konsulem, który obiecał mi intrewenjować o jaknajszybsze zwolnienie, otrzymałem 100 lei doraźnej zapomogi i obietnicę dalszej pomocy.

W poniedziałek doprowadzony zostałem do Prim-pracurora (sędzia śledczy), gdzie zostałem przesłuchany, i dostałem „mandat de arestare"

Wreszcie odprowadzono mię do więzienia gdzie miałem oczekiwać sprawy sądowej,

Normalnie czeka się na nią przeszło miesiąc, dzięki Konsulatowi czekałem tylko 14 dni. Ciekaw byłem nowego miejsca zamieszkania.

Przywitał mnie dość protekcjonalnie po polsku.

Oberwany „Wachman" w granatowym mundurze, szarych cywilnych spodniach i wełnianych zielonych getrach do kolan, i uprzedził, że w celi zastanę rodaków.

Po wejściu do celi, przedewszystkiem rzuciło mi się w oczy niesłychanie nędzne umeblowanie, składające się z sześciu tapczanów przykrytych słomianemi matami, oraz niesamowicie rudy zarost i odstające uszy jednego z „rodaków", już zresztą przed paru dniami w areszcie policyjnym.

Ten „rodak", pan Jakób Józef Rozantal, „turysta" polsko-palestyński, dokonał prezentacji reszty towarzystwa.

Było więc tam dwóch młod ch „rodaków", czyli poprostu Żydów z Łodzi zatrzymanych na przemycaniu się do „Ziemi obiecanej" i różni Dżordzi 40-letni serb, muzykant (i zapewnie żebrak) włóczący się od lat po całej Europie.

Mimo, że według ich słów z kraju wygnała ich nędza i brak pracy i mimo trzech miesięcy spędzonych w więzieniu, oraz perspektywy aresztu w kraju, nie przejmowali się zupełnie,

Twierdzili że przezimują w kraju a na wiosnę ruszą znowu, i udać im się musi bo nabrali już doświadczenia,

Jeden z nich był krawcem drugi robotnikiem z jakiejś przędzalni. Nie mieli pracy i musieli z Polski uciekać. Mieli czterech towarzyszy którym udało się dotrzeć do Konstancji, więc chyba i im uda się na przyszły rok, Zapytałem ich za co mają zamiar przezimować, jeżeli nie mają rodziny, ani widoków na otrzymanie pracy, — Odpowiedzieli; teraz to już nam dopomogą.

Taką samą niefrasobliwość okazywał bardzo młody, bo zaledwie czternastoletni Żyd dostarczony do naszej celi w dziesięć dni później.

Ten malec zresztą, zaimponował mi naprawdę, Proszę sobie tylko wyobrazić. Czternastoletni smarkacz, wyrusza pieszo z Warszawy mając całego majątku 25 zł.

Różnemi sposobami dostaje się do granicy zmienia pieniądze, przekrada się w nocy między posterunkami, i idzie dalej.

Po przejściu pieszo całej Rumunji wzdłuż torów kolejowych, zostaje wreszcie schwytany przy przechodzeniu granicy bułgarskiej.

Jak na czternastolatka to wyczyn niemały.

Na solidarności żydów i przywiązaniu do żydów palest. opierał całą swoją podróż mój trzeci żyd współlokator, „turysta" Rozental.



Trakt bukowiński.

Był to 26 let. czeladnik krawiecki rudy, a odstającemi uszami i bardzo wygadany. Po polsku mówił zresztą ohydnie. Otóż ten dżentelmen, po odbyciu służby wojskowej, siedział pół roku u rodziny w Warszawie, nie mogąc jednak znaleść pracy, postanowił wybrać się do Palestyny.

Zaopatrzył się w legitymację klubu „Makabi" i księgę kontrolną zaopatrzoną na wstępie błogosławieństwem rabina dla dzielnego turysty i poświadczenia „Makabi", iż członek klubu Rozental wyrusza w pieszą podróż krajoznawczą do Palestyny i tak wyekwipowany wyruszył w lutym 1934 w drogę.

Z początku zabiegał o podisy różnych cadyków, kalwaryjskich czy kozienickich, i już za Lublinem mając pewną ilość podpisów i błogosławieństw, zaczął w każdej miejscowości zgłaszać się do gmin wyznaniowych, które dawały mu wyżywienie, nocleg i pewne datki na drogę.

Odpowiednio do przebytych kilometrów i ilości podpisów w książce, rosła serdeczność przyjmujących i co ważniejsza wielkość datków.

W Kutach nasz turysta znalazł współwyznawców, którzy za ulgową opłatą, bo tylko za 10 zł. przeprowadzili go przez granicę i doprowadzili aż do Czerniowiec.

Tu pan Rozental, zainstalował się u jakiego, rodaka i zaczął odwiedzać Konsulat Polski z prośbą o wydanie paszportu na dalszą drogę.

Równocześnie zaś odwiedzał kolejno różne organizacje i wybitniejszych obywateli żydowskich zbierając podpisy i datki.

Kiedy przekonał się że w konsulacie może otrzymać co najwyżej paszport z siedmiodniową ważnością na powrót do kraju, wyszukał jakiegoś urzędnika rumuńskiego który za 800 lei wystawił mu najformalniejszy rumuński dowód osobisty i ruszył dalej dla bezpieczeństwa stemplując swoją książkę także w urzędach policyjnych.

Powodziło mu się świetnie, gdyż żydzi rumuńscy przyjmowali go bardzo serdecznie i dawali obfite datki, aż trafił do miasta Botasani gdzie powinęła mu się noga.

Komisarza policji, którego prosił o podpis w książce zainteresowała niezgodność rumuńskiego dowodu i warszawskiej książki. Co gorsza był to wyjątkowy Rumun, bo niechciał wziąć „bakszyszu" i w rezultacie pan Rozental przyjechał do Czerniowic, gdzie czeka go kilka spraw sądowych.

On również jak i inni żydzi nie martwił się więzieniem. Bał się tylko bardzo odstawienia go do Polski gdzie czeka go również ze dwa miesiące więzienia.

Węgier, bezrobotny czterdziestoletni szofer, człowiek bardzo łagodny i dobroduszny, wyruszył do brata w Moskwie, któremu się podobnie dobrze powodzi.

Podróż jego to istne szaleństwo. Nie znają żadnego, poza węgierskim, języka, prawie bez pieniędzy, miał zamiar przedostać się pieszo przez Czechy i Polskę do Rosji. Zamiast paszportu i biletu miał jedynie kartkę z adresem brata w Moskwie i bardzo niedokładną masztrutę. W tych warunkach nic dziwnego, że zamiast do Polski dostał się do Rumunji, i dziwić się tylko należy że przebył całą Ruś Podkarpaty i dużą część Bukowiny, zanim go złapano.

Ponieważ można było rozmówić się z nim tylko na migi, nie probowałem nawet odwodzić go od tego, a nawet napisałem mu nową, marsztrutą od Hus, w Czechosłowacji aż do Bodwołoczych, bo wcale nie zamierzał poprzestać na jednej próbie,

Gorzej było z innym entuzjastą Kraju sowieckiego który dopiął wprawdzie celu, ale już na miejscu stracił wszelkie iluzje.

Młody dwudziestodwuletni chłopak, Czech po zdaniu matury, pracował w Pradze jako subjekt księgarni. W tym czasie wciągnięto go partji komunistycznej i w czasie odbywania służby wojskowej przyłapano go na propagandzie. Udaje mu się jednak uciec z więzienia, i bez żadnych dokumentów przedostaje do Polski z zamiarem dostania się do Rosji. W Polsce nocuje u chłopów utrzymując się z żebraniny. Koło Rzeszowa zostaje zatrzymany, i z obawy aby nie odesłano go do Czech podaje się za Austrjaka, Karla Neumana. Po odbyciu kary aresztu otrzymuje na to nowe nazwisko pozwolenie na jednomiesięczny pobyt w Polsce.

Przy przechodzeniu granicy rosyjskiej, zostaje schwytany przez K.O.P. i po nowym, dwutygodniowym areszcie, dostaje się wreszcie do Rosji.

Tam jednak nie ma co jeść gdyż chłopi z kolektywów, boją się dać komukolwiek obcemu, boją się podobno nawet rozmawiać.

Po przebyciu 50-ciu klm. z głodu zmuszony jest oddać się w ręce władz, poczem po dziewięciu dniach odsyłają go przez zieloną granicę do Polski.

P R E N U M E R A T A:

Rocznie	6,00	**Kwartalnie**	1,50
(akadem.)	4,00	(akadem.)	1,00
		Półrocznie	3,00
Numer pojedyńczy	30 gr.	(akadem.)	2,00

REDAKCJA

czynna codzień prócz niedziel i świąt w godz. 11 do 12.

ADMINISTRACJA

czynna codzień prócz niedziel i świąt w godz. 11—12 i 15—17.

Al. Frascati 18. Tel. 9-96-19. Konto P. K. O. 3231.

Wydawca:

PIOTR DUNIN BORKOWSKI

Redaktor odpowiedzialny:

KSAWERY PRUSZYŃSKI

Drukarnia Kooperatywy Pracowników Drukarskich Warszawa, Zielna 47. Tel. 619-57.